

TA KSIĄŻKA NALEŻY DO

Wyrazy uznania dla
Sagi rodu Wingfeatherów

„Uwielbiam te wszystkie przygody i szaloną pomysłowość, ale przede wszystkim pasję, jaką Andrew włożył w swoje książki. Jest poetą i mistrzem opowiadania. Chcę przeczytać wszystko, co napisze”.

– SALLY LLOYD JONES, autorka bestsellerów
„New York Timesa” w kategorii książek dla dzieci

„Tego doświadczenia wasza rodzina nigdy nie zapomni! Polecam te książki z całego serca!”

– SARAH MACKENZIE, autorka *The Read-Aloud Family*,
założycielka i gospodyni podcastów *Read-Aloud Revival*

„*Saga rodu Wingfeatherów* jest dowcipna oraz pełna pasji i wyobraźni. Polecam ją gorąco młodszym nastolatkom, którzy przeczytali już wszystkie części *Narnii* i szukają kolejnej, wspaniałej serii”.

– ANNE BOGEL, założycielka bloga *Modern Mrs Darcy*
i gospodyni podcastu *What Should I Read Next?*

„Niesamowicie pomysłowa i cudownie zuchwała epopeja, błyszcząca dowcipem i mądrością – zawiera rewelacyjne porady, jak radzić sobie z pluskaczami, Fangami, a nawet z zębatą krową”.

– ALLAN HEINBERG, twórca i producent
współwykonawczy serialu stacji ABC *Chirurgicy*
i współtwórca komiksu Marvela *Young Avengers*

„Głęboko inteligentna!”

– PHIL VISCHER, twórca *VeggieTales*

**STRAŻNIK
I WILCZY KRÓL**

ANDREW PETERSON

SAGA RODU

WINGFEATHERÓW

KSIĘGA CZWARTA

STRAŻNIK
I WILCZY KRÓL



Wydanie I, Ustroń 2023

Tytuł oryginału: THE WARDEN AND THE WOLF KING

Wszelkie postacie i wydarzenia w tej książce są fikcyjne, a ich podobieństwo do rzeczywistych osób lub wydarzeń – przypadkowe.

Autor: Andrew Peterson

Tłumaczenie: Karolina Siupa

Redakcja: Tomasz Powyszyński

Korekta: Joanna Salamon, Bartosz Szpojda

Skład i przygotowanie do druku: Sylwia Cupek

Projekt graficzny okładki dostosowała z oryginału: Sylwia Cupek

Druk i oprawa: Drukarnia Skleniarz, Kraków

This translation published by arrangement with WaterBrook,
an imprint of Random House, a division of Penguin Random House LLC

Copyright © 2014 Andrew Peterson

Prawa autorskie do ilustracji wewnątrz książki Copyright © 2020 by Andrew Peterson

Ilustracje wewnątrz książki: Joe Sutphin

Ilustracja na okładce: Nicholas Kole

Projekt okładki: Brannon McAllister

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Szaron, 2022

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo Szaron, 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Ustroń 2023

ISBN 978-83-8247-139-7

Wydawca:

Szaron

Księgarnia | Wydawnictwo | Hurtownia

ul. 3 Maja 49a, 43-450 Ustroń

tel. 503 792 766

wydawnictwo@szaron.pl

zamowienia@szaron.pl

szaron.pl





*Tę część dedykuję Tobie, Drogi Czytelniku.
Dotarłeś już prawie do finału.*

*Wśród mroku nocy, w głębokim śnie
Na dnie mej duszy słyszałem pieśń
Choć pełen bólu był śpiewny głos
Z nadzieją witał swój nowy los.*

*Łkał, że przewrotne jest przeznaczenie
Powiewem wiatru ludzkie istnienie
I swymi łzami zlewał obficie
śmierć dawnych marzeń i nowe życie¹.*

– GEORGE MACDONALD, 1842

1 Tłum. własne.

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA: ZIELONE DOLINY

- 1 • Wojenny mozół • 21
- 2 • Przysięga Jannera • 29
- 3 • Trzynasta babeczka • 34
- 4 • Wywieziony we śnie w nieznane • 39
- 5 • Siekanie ślizgalca • 43
- 6 • Psi Korpus • 49
- 7 • „Zew księżycowych jeźdźców” • 54
- 8 • Spór o terytorium • 61
- 9 • Fang w lochu • 65
- 10 • Decyzja króla • 71
- 11 • Zapachy, dźwięki i piski • 76
- 12 • W oku cyklonu • 81
- 13 • Walka o kości • 84
- 14 • Kolejna dolina, kolejny potwór • 89
- 15 • Janner zostaje porwany • 94
- 16 • Poranieni i zdruzgotani • 99
- 17 • Zwiadowca generała Fithyhoopa • 107
- 18 • Tajemnica okna wizji • 113

- 19 • Co zobaczył Kalmar • 120
- 20 • Co poczuła Leeli • 126
- 21 • Co usłyszał Janner • 133
- 22 • Tajna broń Leeli • 138
- 23 • Leeli – Pogromca Nietoperzy z Ban Rony • 143
- 24 • Odwiedziny w Chimney Hill • 146

CZĘŚĆ DRUGA: SKREE

- 25 • „Łapka Wiotczaka” • 154
- 26 • „Stajnia i babeczki u Snoota” • 158
- 27 • Nikczemna podłość • 166
- 28 • Goraluchy w kanałach • 172
- 29 • Światło księżycy w ciemnościach • 176
- 30 • W podziemnych korytarzach • 182
- 31 • Fangowie na ulicach • 187
- 32 • Zjazd rodzinny Weaverów • 193
- 33 • Imię Maraly • 199
- 34 • Wstyd Arthama • 206
- 35 • Plan generała Borleya • 210
- 36 • Zbyt dobre, by nie było prawdziwe • 216
- 37 • Dugtownowcy na nabrzeżu • 219
- 38 • Dach magazynu nasion Flombode’a • 224
- 39 • Stranderka, Ptasznik, Kwiecisty Szermierz • 229
- 40 • Pertraktacje • 235

- 41 • Wieczne opowieści
 Arthama • 239
- 42 • Nadchodzi świt • 246
- 43 • Miasteczko Glipwood • 252
 - 44 • Zamek Peeta • 262
- 45 • Ktoś odzyskany, ktoś utracony • 267

CZĘŚĆ TRZECIA: THROG

- 46 • Poeta z dżungli Plontsta • 274
- 47 • Dzikie stado zębanych krów • 280
 - 48 • Elder Cadwick • 283
- 49 • Malowidła w jaskini • 289
 - 50 • Arundelle • 296
- 51 • Rada królowej zwierzóludów • 304
 - 52 • W głąb lasu Blackwood • 308
- 53 • Atak wściekłych zwierzóludów • 314
 - 54 • Ból pamięci • 320
 - 55 • Oskar proponuje piosenkę • 328
- 56 • Czasem trzeba kopnąć rozpacz w zadek • 333
- 57 • Trzeba grać pieśni, trzeba toczyć bitwy • 338
 - 58 • Wojna Leeli • 345
- 59 • Wchłonięci przez lochy Throg • 349
 - 60 • Atak Fanga • 355
- 61 • Sam w podziemnych korytarzach Throg • 357

- 62 • Kolejka do zatracenia • 361
- 63 • Stworzenie Grimgara • 367
 - 64 • Prastary kamień • 371
- 65 • Pod kapturem Strażniczki • 374
- 66 • Śmigiem w górę szybu • 378
 - 67 • Za oknem Leeli • 384
 - 68 • Flota w Skree • 388
- 69 • Negocjacje z Fangiem • 390
- 70 • „Zamek na Skale” • 395
 - 71 • Pającyfer • 400
 - 72 • „Deszcz i ogień” • 404
- 73 • Po drugiej stronie przepaści • 410

CZĘŚĆ CZWARTA: ANNVIERA

- 74 • Gnag Bezimienny • 422
- 75 • Wyspa Anniera • 430
- 76 • Świątynia Ognia • 438
- 77 • Kradzież kamienia • 444
 - 78 • Plan Gnaga • 448
 - 79 • Mroczny sojusz • 454
 - 80 • Zespolenie • 462
- 81 • Zniszczenie Ban Rony • 468
- 82 • Rozpoczyna się bitwa • 474
- 83 • Uzdrawienie Hulwen • 481

84	•	Umiłowany	•	488
85	•	Następstwa	•	495
86	•	Murgah i kamień	•	502
87	•	Miłosierdzie	•	510
88	•	Rejs do domu	•	515
89	•	Stwórca	•	522
90	•	Przybycie króla	•	530
91	•	Propozycja króla	•	538
92	•	(Ponowny) rejs do domu	•	542
93	•	Poranek na zamku Rysen	•	549
94	•	Ziarno zostaje zasiane	•	555
95	•	Cena uzdrowienia	•	559
96	•	Dawni Fangowie przeminęli	•	563
		Epilog	•	569
		Podziękowania	•	571
		O Autorze	•	573

Mapa ziemi
Dang

(Odtworzona z pamięci,
bo trudno rysować,
leżąc na grzebiecie złotopiora)

LAS BLACKWOOD

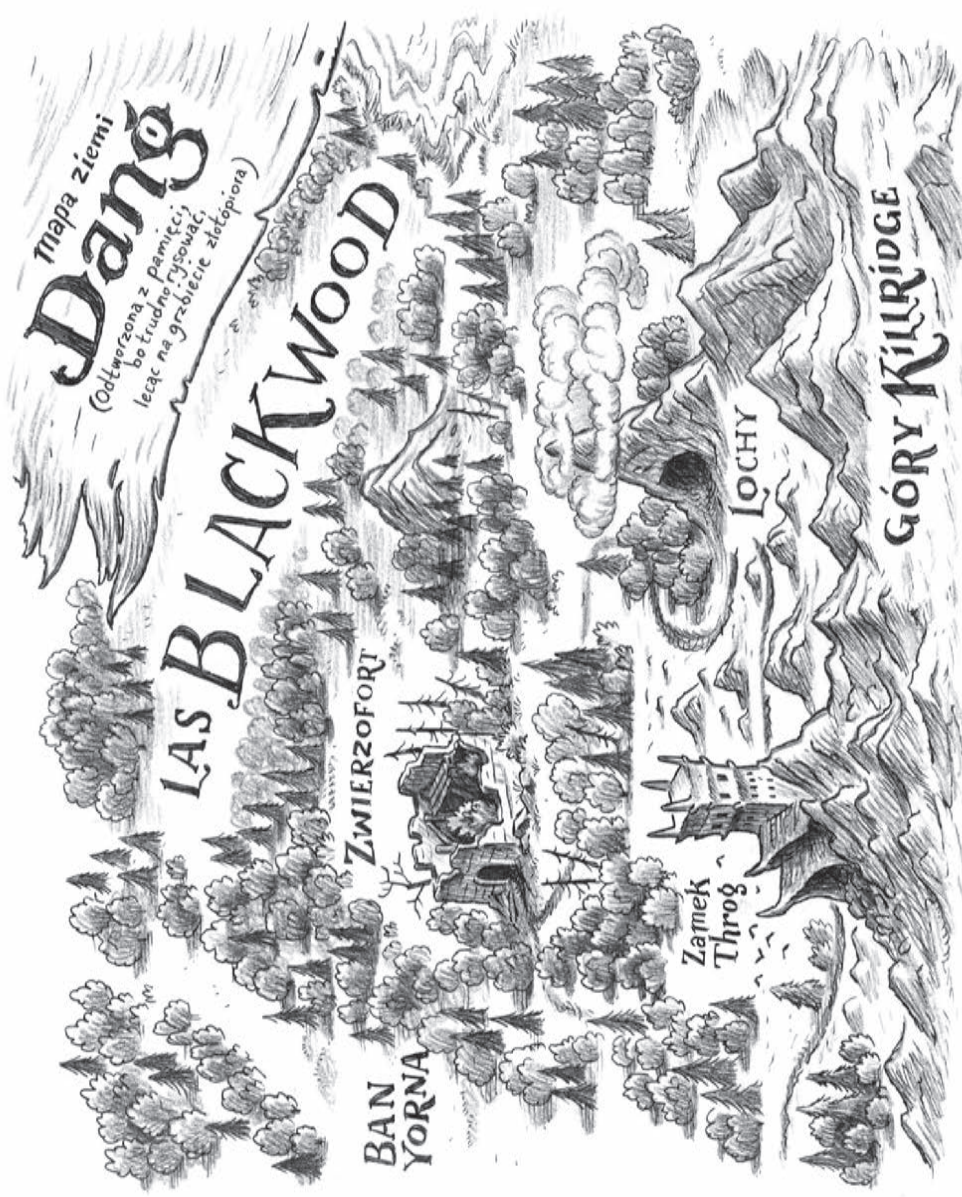
ZWIERZOFORT

**BAN
YORNA**

**Zamek
Throg**

ŁOCHY

GÓRY KILLRIDGE



Część pierwsza:

Zielone Doliny

W Czwartej Epoce, w spokojnym roku 435, królowi Landerowi Wingfeatherowi i jego żonie, Illii Finley z Zielonych Dolin, urodziła się dziewczynka. Jej starszy brat, Olmer, stał się zatem Strażnikiem Tronu, a dziewczynka miała zostać Wielką Królową Świetlistej Wyspy. Miała na imię Madia i słynęła z przecudnej urody, którą stawiono na wolnych wówczas ziemiach Dang. Gdy osiągnęła wiek zamążpójścia, udała się na letnią wycieczkę do miasta Ban Rona w Zielonych Dolinach, dokąd król Lander i królowa Illia często żeglowali, gdy wiał ciepły wiatr. Tam oglądali turnieje Banick Durga i spędzali dni na radosnych uciechach, podczas gdy Dolinianie oddawali się potyczkom. W Ban Ronie młoda Madia najbardziej lubiła wymykać się z turniejów z Pola Finleya i przechadzać po krętych korytarzach Wielkiej Biblioteki.

Tam spotkała bystrego, młodego mężczyznę nazwiskiem Bonifer Squoon.

– Fragment Annieriady: Schyłku Czwartej Epoki

W OPRACOWANIU WIELMOŻNEGO OSKARA N. RETEPA,
WIELBICIELA RZECZY GUSTOWNYCH, DZIWACZNYCH I/LUB PYSZNYCH
GŁÓWNEGO BIBLIOTEKARZA, HISTORYKA I WIELBICIELA
WONI KSIĄŻEK Z WIELKIEJ BIBLIOTEKI W BAN RONIE

Wojenny mózół

Kalmar zapytał:

– I co teraz?

– A skąd mam wiedzieć? Nigdy nie walczyłem na wojnie – odparł Janner.

– Ale siedzimy tu co najmniej trzy godziny i nic nie jedliśmy.

– Słuchaj, wiem tylko, że mamy tu siedzieć cicho, dopóki plemiona nie skończą składać przysięgi... czy jak to się tam nazywa. Wszyscy jesteśmy głodni, ale *tobie* chociaż nie jest zimno.

– Ile jeszcze plemion zostało?

– Policz sobie.

– Czekaj, a ile było na początku?

– Kal, czy możesz po prostu skupić się na tym, co się dzieje? Mama powiedziała, że coś takiego nie wydarzyło się od dziesięcioleci. I przybyli tu z *twojego* powodu. Mógłbyś przynajmniej okazać zainteresowanie. *Ćśś!* Idzie ktoś z plemienia.

Janner i Kalmar siedzieli na drewnianej trybunie z widokiem na Pole Finleya, teraz zasypane śniegiem. Janner przypomniał sobie, że to właśnie na tych polach wiele lat wcześniej Podo Helmer zdobył serce Wendolyn Igiby, gdy walczył w turniejach Banick Durga z najokrutniejszymi i najagresywniejszymi spośród Dolinian. Dzisiaj jednak nie było turniejów. Dzisiaj była wojna. A to oznaczało nudę.

Tego ranka Nia obudziła braci w ich sypialni w Chimney Hill i przypomniała im, że to dzień hołdu i że jako Wielki Król i Strażnik Tronu Anniery muszą pojawić się na uroczystości. Po szybkim śniadaniu, przygotowanym przez Poda i Frevę, Nia przyniosła braciom i ich siostrze Leeli oficjalne szaty.

Leeli otrzymała białą suknię, obszytą puszystym futrem, i pelerynę w szare cętki, która okrywała jej ciało jak koc i była spięta na ramionach srebrną broszą w kształcie świecącej gwiazdy. Kiedy Leeli wyszła ze swojej sypialni w sukni i pelerynie, z włosami zaczesanymi na jeden bok i policzkami płonącymi nadzieją na własne piękno, chłopcy aż zaniemówili. Ubrany w fartuch Podo, który utykał na jednej nodze wokół stołu i zbierał brudne naczynia, spojrzał na nią i szepnął:

– Na jasny księżyc, ależ ona jest ładna.

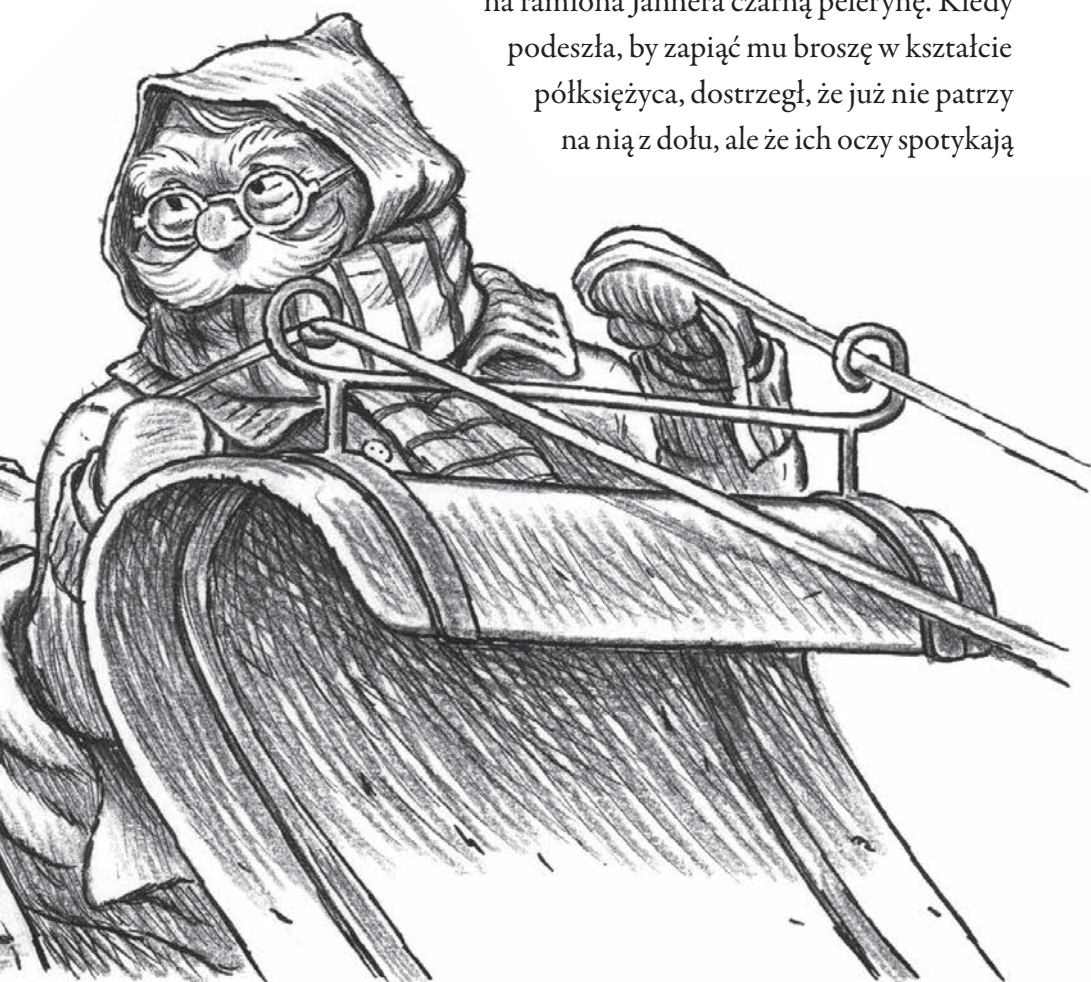
Bracia nie dostali takich komplementów, ale i tak czuli się przyzwojni w swoich królewskich strojach. Kalmar nie potrzebował futra, ponieważ jego ciało było pokryte srebrzysto-brązową sierścią. Zamiast tego miał na sobie czarną, skórzaną kamizelkę podszytą krwistoczerwonym materiałem i zapiętą z przodu na błyszczące srebrne guziki z wizerunkami smoka Anniery. Te



same insygnia Janner widział na okładkach dzienników wuja Arthama w Glipwood. Nia zarzuciła mu na ramiona czarną pelerynę i zapięła mu ją pod szyją broszą ze srebrnym słońcem. Próbowwała założyć mu na głowę koronę – nie oficjalną koronę annierską, jak im powiedziała, ale coś, co zamówiła u kowala w Ban Ronie – diadem, dzięki któremu na ceremonii będzie wyglądał wystarczająco królewsko. Po kilku nieudanych próbach zamocowania go na jego wilczych uszach (którymi nieustannie strzygł) zrezygnowała jednak z tego pomysłu, ku wielkiej uldze Kalmara.

Janner, jako ostatni w kolejce, otrzymał czarną pelerynę z błyszczącej skóry, a wraz z nią dopasowane buty z cholewami i rękawiczki. Kiedy je założył i poruszył palcami, dostrzegł, że na grzbiecie każdej z nich wyszyty jest karmazynową nitką ten sam annierski smok.

– Trzymaj – powiedziała Nia i zarzuciła na ramiona Jannera czarną pelerynę. Kiedy podeszła, by zapiąć mu broszę w kształcie półksiężyca, dostrzegł, że już nie patrzy na nią z dołu, ale że ich oczy spotykają



się na tej samej wysokości. – Kiedy ty tak wyrosłeś? – zapytała cicho matka. Poprawiła mu pelerynę i opuściła ramiona. – Wyglądasz jak Strażnik Tronu. Wysoki, przystojny i skromny. Miej dzisiaj oko na Kalmara, on nie cierpi takich ceremonii.

Janner zerknął na Kala, który schylony nad stołem zgarniał okruszki ze śniadania w małe stosiki, a potem je zlizywał.

– Kalmar! – warknęła Nia, a on wyprostował się gwałtownie i wytarł ręce w pelerynę. – Kalmar! – powtórzyła, a on wziął ze stołu serwetkę i wytarł ręce oraz pelerynę z nerwowym śmiechem. – Kalmar! – jęknęła jeszcze raz i wyrwała mu serwetkę. Nie zauważył, że jest ubrudzona dżemem z cukrorzeczek i że właśnie umazał nim sobie nową pelerynę i ręce, które z roztargnieniem wytarł w kamizelkę. – Wyjdz! – rozkazała Nia.

Janner wypchnął Kalmara i Leeli za drzwi, a tam czekał na nich Oskar N. Reteep w gotowych, zaprzęgniętych saniach. Kal wskoczył do wozu.

– Mówiąc słowami Chancho Phanora: „Wszyscy troje wyglądacie wspaniale!”. Czy to dżem z cukrorzeczek? – mówiąc, wskazała na pelerynę Kalmara.

W jakiś sposób, mimo że jego twarz była pokryta sierścią, policzki Kala zarumieniły się, gdy podnosił Leeli i sadzał ją na siedzeniu za sobą. Janner wdrapał się z drugiej strony.

– Klejnoty! To będzie piękny dzień! – Oskar cmoknął na konia i naciągnął szalik na usta. Był postawnym mężczyzną, ale okryty kilkoma warstwami płaszczy, peleryn i koców wyglądał na olbrzyma. Janner widział z Oskara tylko jego błyszczący, czerwony nos i okulary wystające spomiędzy szalika i kaptura; reszta była jedną wielką stertą tkanin.

Po godzinie jazdy przez śnieg dotarli na wzgórze i ich oczom ukazali się niemal wszyscy mieszkańcy Zielonych Dolin, zgromadzeni w kręgu na Polu Finleya. Ciszę długiej jazdy przerwały nagły zgiełk tłumu, rzenie

koni i łopotanie licznych flag na wietrze. Zapach dymu z ognisk mieszał się z wonią mięsa pieczonego na rożnie i smrodem końskiego nawozu. Każde plemię postawiło własny namiot główny i otoczyło go mniejszymi, między którymi znajdowały się wozy, konie i ogniska. Tysiące Dolinian stało w grupkach wokół palenisk, inni urządzali sobie zabawy i tarzali się po śniegu albo ścigali się za namiotami.

Środek Pola Finleya był nieskazitelny – gładki, biały okrąg, szeroki na strzał z łuku. Śniegu nie szpecił ani jeden ślad stopy, chociaż ścieżka wokół pola była zabłocona od śladów tłumów. Na skraju koła w pobliżu drogi wzniesiono trybunę, a stojący obok niej mężczyzna podniósł rękę na powitanie Wingfeatherów. Nawet z daleka Janner rozpoznał wysoką, brodatą postać Rudryka, Strażnika Dolin.

Janner poczuł ukłucie rozpacz. Rudryk nie miał zamiaru zabić jego ojca i Janner o tym wiedział, ale ani ból, ani poczucie niezręczności przez to nie zniknęły – ani ze strony Jannera, ani Rudryka, którego przez kilka miesięcy po śmierci Esbena praktycznie nie widywano w Chimney Hill. Rudryk był dobrym człowiekiem i Janner go lubił, ale stał się symbolem nieobecności jego ojca. Janner nie potrafił sobie wyobrazić, jak czuje się Nia – Nia, która była zakochana w Rudryku aż do dnia powrotu Esbena.

Oskar chrząknął.

– No cóż. Jak na pewno gdzieś napisał jakiś autor, „Bierzmy się do dzieła”.

Zajechał saniami pod trybunę i przywitał się ze Strażnikiem.

– Oskar, miło cię widzieć – odezwał się Rudryk. Wyciągnął rękę do Leeli, która ujęła ją po chwili wahania i pozwoliła mu podnieść się z wozu i postawić delikatnie na ziemi. Potem Rudryk skinął głową na powitanie Jannerowi i Kalowi, choć spojrział im w oczy tylko na chwilę. – Tędy, Wingfeatherowie. To będzie długi dzień, ale to ważne, jeśli mamy stać się armią godną walki.

Obok trybuny stał namiot, którego wejścia strzegli dwaj strażnicy z patrolu Durgi. Stali z czarnymi kapturami naciągniętymi na twarze i skrzyżowanymi ramionami. Kiedy Janner i jego rodzeństwo weszli za Rudrykiem do środka, Durganie skinęli milcząco na powitanie najpierw Rudrykowi, a potem Jannerowi i Leeli. Jannerowi trudno było stwierdzić, czy to tylko złudzenie, czy nie, ale miał wrażenie, że zignorowali jego wilczego brata.

Nie miał czasu dłużej się nad tym zastanawiać, ponieważ gdy tylko wszedł do namiotu, zobaczył dwunastu przedstawicieli plemion stojących na baczność i tyle samo przedstawicielek. Stali zgromadzeni wokół długiego stołu pod zwisającym z góry żelaznym, kutym żyrandolem z zapalonymi świecami. Janner uznał, że miał on przypominać wielkie drzewo w Ban Ronie. Jego uwadze nie umknął ironiczny fakt, że zaledwie kilka miesięcy wcześniej Nia ogłosiła *turalay* i złożyła krwawy odcisk swojej dłoni na drzewie, aby uratować Kalmara przed tymi samymi ludźmi, którzy teraz będą przysięgać mu wierność.

Rudryk zajął miejsce u szczytu stołu i wskazał na trzy puste miejsca.

– Witajcie, przedstawiciele klanów z Zielonych Dolin. – Skinął głową ku dzieciom. – Witajcie, klejnoty Anniery.

Wszyscy w namiocie usiedli. Dzieci Wingfeatherów rozejrzały się dookoła zdezorientowane, po czym również usiadły na swoich miejscach.

Mężczyźni przy stole wyglądali jak typowi Dolinianie: baryłkowane klatki piersiowe, długie wąsy i brody, twarze i dłonie pełne blizn po latach ciężkiej pracy i jeszcze cięższych zabaw. I chociaż ich ubrania różniły się krojem i kolorem, wszyscy mieli na sobie skórzane płaszcze i puchate futra, zgrabnie wyczesane i zdobne w hafty i emblematy. Wygląd kobiet natomiast był o wiele bardziej zróżnicowany. Niektóre były szczupłe i kobiece, jak Nia, a inne – nie mniej piękne – krzepkie i zwaliste jak mężczyźni. Niektóre miały na sobie jasne suknie

i przewieszane przez plecy miecze, a inne zwykłe ubrania i włosy upięte w koki ze zwiniętych warkoczy. Niektóre były jeszcze bardziej postawne niż mężczyźni, a na twarzach rosły im włoski i brodawki równie brzydkie co u Olumphii Groundwich. Siedziały obok, jak domyślił się Janner, swoich mężów i wyglądało na to, że wiele ran, po których zostały mężczyznom blizny, zadały im własne żony – a mimo to większość par trzymała się za ręce.

– Tym z was, którzy jeszcze go nie widzieli – rozpoczął Rudryk – przedstawiam Kalmara Wingfeathera, Wielkiego Króla Świetlistej Wyspy.

Każde oko w namiocie otaksowało Kalmara bez cienia wrażliwości. Na większości twarzy wyraźnie było widać nieufność i wstręt, ale kilka osób obdarzyło go szczerym uśmiechem i powitalnym skinieniem głowy. Janner z dumą zauważył, że Kalmar siedzi prosto i patrzy im w oczy.

– Witajcie – powiedział po tym, jak odchrząknął. – Nie wiem, co powiedzieć, poza tym, eee, że cieszę się z waszego przybycia. Nie wiem, jak to było w waszym przypadku, ale w moim życiu Gnag Bezimienny sporo namieszał. Ktoś musi go powstrzymać, bo inaczej podbije całe Aerwiar i zamieni wszystkich w... w... – Spojrzał na swoje pazury i pokryte futrem dłonie, a w namiocie zapadła bolesna cisza. Kalmar wziął głęboki oddech i wyciągnął swoje fangowe ramiona, aby wszyscy mogli je zobaczyć. – W to. Ktoś musi go powstrzymać. I wygląda na to, że nikt oprócz mieszkańców Zielonych Dolin nie jest na tyle odważny, by z nim walczyć. Więc tak jak powiedziałem, cieszę się, że tu jesteście. To wszystko. – Ukrył ręce pod stołem i opadł z powrotem na krzesło. – Och, zapomniałem. – Znowu się wyprostował. – To moja siostra, Leeli, jest Pieśniarką Anniery. A mój brat Janner jest Strażnikiem Tronu. Nie wiemy, co mamy robić, ale chcemy pomóc.

Leeli wpatrywała się w siedzących przy stole mieszkańców Dolin, jakby rzucała im wyzwanie, by sprzeciwili się jej bratu. Po chwili

milczenia wodzowie klanów i ich żony chrząknęli z aprobatą i zaczęli walić w stół swoimi ciężkimi pięściami tak długo i głośno, że Janner zaczął się obawiać, że go połamią.

Rudryk uciszył zgromadzonych i wyjaśnił porządek dnia, który – jak się okazało – miał być dla trójki dzieci nieznośnie nudny. Pod wodzą dwunastu klanów znajdowało się wiele osobnych plemion, a przywódca każdego plemienia miał stanąć przed Kalmarem i złożyć przysięgę wierności Świetlistej Wyspie i jej młodemu królowi. Jeden przywódca klanu za drugim maszerowali przez pole pod trybunę. Opowiadali o historii swoich klanów i o wielkich zwycięstwach w bitwach w ciągu wieków, cofając się aż do Drugiej Epoki. Każdy przywódca opisywał mocne i słabe strony swojego klanu. Po nieznośnie długich litaniach przechwałek, bzdur i brawury przywódca kłaniał się, paradował z flagą klanu najpierw przed swoim wodzem, potem przed Kalmarem, a na końcu ustawiał ją obok flagi Anniery.

Oskar sporządzał obszerne notatki, Leeli zabrała swój śpiewnik i ćwiczyła chwyt na fletoharfę, Janner walczył dzielnie, by się nie rozpraszać, a Kalmar starał się nie zasnąć.

Ceremonia ciągnęła się przez całą wieczność, aż wreszcie przed trybunę wtoczył się główny wódz plemienia Ban Soran. Był żyłastym facetem i mimo przenikliwego zimna nie miał na sobie koszuli. Klatkę piersiową i twarz miał pomalowane w szkarłatne wstęgi, a kiedy mówił, to prawie warczał.

– Nazywam się Carnack i nie przysięgam niczego Fangowi z ziemi Dang.

Przysięga Jannera

Rudryk szepnął pod nosem:

– U-ła. Tego się obawiałem.

– Co się stanie, jeśli on nie złoży przysięgi? – spytał Janner, lecz Rudryk go nie usłyszał, ponieważ szeptał coś do wodza Ban Soran.

– Co się dzieje? – spytał Kalmar i ziewnął.

– Nie słyszałeś, co powiedział ten facet?

– Nie słuchałem.

Carnack wciąż stał przed trybuną, z pięściami na biodrach i uniesionym wysoko nosem. Rudryk wstał i zwrócił się do niego:

– Carnacku z Ban Soran! Nie widziałem cię od jakiegoś czasu. Twój wódz powiedział mi, że patrolowałeś południowe zbocza gór Killridge. Czy to prawda?

– Tak – warknął w odpowiedzi.

– A zatem widziałeś Fangów, czyż nie? Walczyłeś z nimi?

– Zgadza się. Zabili moich krewnych. Są źli na wskroś i nie pokłonę się żadnemu z nich, ani dzisiaj, ani nigdy.

Rudryk zerknął na Kalmara, który po raz pierwszy w pełni się skupił.

– Więc jakie rzucasz nam wyzwanie, Carnacku? – zapytał Rudryk.

– Żadnych wyzwań, Strażniku. Będę walczył w waszej wojnie. Po prostu nie chcę przysięgać na krew mojego klanu przed Fangiem z Dang. Jeśli mam walczyć, to dla Dolinian, a nie jakiegoś potwora.

Janner dostrzegł, jak wodzowie i ich żony wiercą się nieswojo. Celem uroczystości było zjednoczenie klanów pod flagą Anniery, lecz Carnack stał się drzazgą w tej jedności – a drzazga może łatwo przerodzić się w klin. Wódz Carnacka, Horgan Flannery, zwrócił się do swojego współplemieńca:

– Carnack, głupcze! Siedem plemion złożyło przysięgę bez żadnych wyjątków. Dlaczego musisz być bolącym zębem? Zrób to w imię Świełtistej Wyspy, skoro nie dla jej króla. Mamy długą historię przymierza z tym królestwem i zamierzam je podtrzymać.

– Chodź, Carnack. – Rudryk wyciągnął rękę. – To dla naszego umocnienia.

– Nie. – Carnack skrzyżował ręce i odwrócił wzrok. – Nie złożę przysięgi żadnemu Fangowi.

Leeli odłożyła fletoharfę i nachyliła się do chłopców.

– Kal, to byłby dobry moment na coś.

– Na co?

– Mógłbyś stoczyć z nim walkę – zasugerował Janner. – Dolinianie w ten sposób rozwiązują problemy. Widzisz? – Wskazał na Rudryka, który ledwo powstrzymywał Horgana Flannery'ego przed zeskoczeniem z podium i pobiciem Carnacka.

– Tylko spójrz na tego gościa! – szepnął Kalmar. – Rozszarpałby mnie.

– Nie, nie zrobiłby tego – zaprzeczyła Leeli. – Jesteś silniejszy i szybszy od tych ludzi.

Kalmar westchnął i pokręcił głową.

– Nienawidzę takich akcji.

Jednym, szybkim susem zeskoczył z trybuny i wylądował zaledwie dwa kroki przed Carnackiem. Rudryk, Horgan i pozostali wodzowie zachłysłnęli się z zaskoczenia. Carnack przybrał postawę bojową i cofnął się z mieczem w dłoni. Po raz pierwszy tego dnia idealny śnieg na Połu Finleya zbrukały ślady stóp.

Kalmar jednak nie dobył miecza, ponieważ nie miał go przy sobie. Nie okrążał też wojownika, jakby chciał zaatakować. Po prostu stał przed nim na śniegu, a jego czarna peleryna ciągnęła się za nim jak cień.

– W co ty grasz, wilku? – splunął Carnack.

– W nic nie gram. – Kalmar rozłożył ręce, aby pokazać, że nie ma broni. – Chcę tylko, by Gnag Bezimienny przegrał. A ty?

– Ja też – odparł Carnack po chwili i obniżył trochę miecz.

– Janner, flaga – szepnęła Leeli i wskazała na flagę Anniery za nimi.

Od razu zrozumiał, co ma na myśli. Janner zdjął flagę Anniery i pomógł Leeli wstać. Strażnik Tronu i Pieśniarka zeszli z trybuny i dołączyli do stojącego na śniegu Kalmara. Carnack spojrział niepewnie na trójkę dzieci. Świadom, że wszyscy wojownicy na niego patrzą, Janner wbił flagę Anniery w śnieg i ukląkł, pociągając za sobą Kalmara.

– Jeśli nie będziesz walczył za Świetlistą Wyspę – zawołał Janner tak głośno, by wszyscy mogli go usłyszeć – to niech ci będzie wiadomo, że Świetlista Wyspa będzie walczyła za ciebie. – Utkwił wzrok w śniegu i czekał na odpowiedź, lecz słyszał tylko łopot flagi na zimnym wietrze.

– Co powiesz na to, Carnack? – zapytał wreszcie Horgan.

– Tak – odpowiedział Carnack.

Janner usłyszał, jak miecz Carnacka wraca z szelestem do pochwy, a potem uniósł wzrok i zobaczył, jak członkowie plemion wracają do swoich namiotów ze spuszczoneymi głowami, jakby w geście pokory.

Kalmar spoglądał zaskoczony na Jannera i Leeli, gdy w niezręcznym milczeniu wracali na trybunę. Rudryk pochwalił ich szybkim skinieniem głowy, gdy zajmowali swoje miejsca, i przez resztę popołudnia ceremonia toczyła się bez zakłóceń. Pod koniec dnia mieszkańcy Zielonych Dolin i garstka ocalonych ze Świetlistej Wyspy oficjalnie zawarli sojusz.

O zmierzchu, kiedy przywódcy plemion i ich oddziały maszerowali po polu w rytmie różnych dolinnych melodii, takich jak „Ogar, koń

i kurczak też”, „Kołowrót Roundera” czy zawsze popularnej „Chrząkać, mlaskać, iść”, nawet półnagi Carnack dumnie prowadził swoje plemię i podniósł rękę w salucie wobec Kalmara. Kal jednak tego nie zauważył, ponieważ był zajęty zlizywaniem z kamizelki plamy po cukrorzeczkach.

– Fascynujący dzień! – oświadczył Oskar po zakończeniu parady. – Dziękuję, Rudryku, że pozwoliłeś mi to oglądać.

– Nie ma za co, Oskarze. Dobra robota, Wingfeatherowie. Przepraszam waszą wysokość za nieposłuszeństwo Carnacka.

– „Wasza wysokość” to do ciebie, Kal – szepnął Janner, przez co jego brat porzucił na chwilę polowanie na słodkości.

– Hę? Och! Nie martw się o to. Trudno go winić. Ja też nienawidzę tego, jak wyglądam. Kiedy możemy coś zjeść?

Rudryk się uśmiechnął.

– Wasza praca na dzisiaj dobiegła końca, dzieci. Miło było was zobaczyć. – W jego oczach pojawił się smutek, a potem odwrócił się, by porozmawiać z wodzami.

Droga do domu upłynęła w milczeniu, o ile nie liczyć parskania śmiechem Leeli na dźwięk głośniego burczenia w żołądku Kalmara. Im bardziej zbliżali się do Chimney Hill, tym bardziej Oskar dziwnie się niepokoił, a kiedy przejechali przez most i wjechali na łukowaty podjazd do domu, Janner zorientował się, że coś jest nie tak. W oknach nie paliły się żadne światła, a na werandzie nie migotała żadna lampa. Gdyby nie dym unoszący się z komina, to cały dom wyglądałby na opuszczony.

– Gdzie są wszyscy? – spytał Janner.

– Nie wiem! – odrzekł pospiesznie Oskar. – Mam na myśli, że jestem pewien, że istnieje dobre wytłumaczenie, dlaczego w domu jest ciemno. To znaczy, nie wiem! Ach! Oto jesteśmy.

Janner spojrzął do tyłu na brata i siostrę, ale celowo odwrócili wzrok. Kiedy odwrócił się z powrotem do Oskara, zobaczył, że staruszek już zszedł z sań i wślizgnął do ciemnego domu.

– Dlaczego, do Aerwiar, on się tak zachowuje? – spytał Janner. Kalmar i Leeli jednak wzruszyli ramionami, jakby gdyby nigdy nic, i zsiadli, a on został w saniach sam. – Hej? Co się dzieje?

Janner mruczał pod nosem, gdy wchodził do domu za swoim rodzeństwem, zirytowany ich tajemniczym zachowaniem. Czuł zapach obiadu, ale dlaczego lampy są pogaszone? W czerwonym blasku ognia z kominka dostrzegł, że Podo wyleguje się na swoim ulubionym krześle, ale reszta salonu była pogrążona w ciemnościach. Nigdzie nie było widać Oskara i pozostałych, lecz gdyby nie zachowywali się tak dziwnie, Janner uznałby, że kryje się za tym prawdziwe niebezpieczeństwo. A jeśli nie niebezpieczeństwo, to co?

– Hej? – zawołał w głąb ciemnego salonu. – Co się dzieje?

Wtem usłyszał za sobą chichot i czyjś szorstki głos powiedział:

– Bierzcie go.

Zanim Janner zdążył powiedzieć kolejne słowo, ktoś z tyłu rzucił się na niego.

Trzynasta babeczka

Janner upadł na podłogę i poczuł, jak czyjeś palce dźgają go ze wszystkich stron. Wreszcie rozpoznał czyjś głos – to był mistrz Clout. Ale skąd, u licha, Clout się tu znalazł? I dlaczego urządził zasadzkę na Jannera w jego własnym domu? I przede wszystkim dlaczego on i kilka innych osób śmiali się i szturchali go w żebra, nogi i brzuch?

– Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, chłopcze! – zawołał tubalnym głosem Podo i nagle salon w Chimney Hill wypełnił się światłem lamp. Gromada ciał, które napadły na Jannera, rozproszyła się i został na podłodze sam, oszołomiony i mrugający oczami. Ujrzał nie tylko Clouta, lecz także ośmiu innych uczniów z Gildii Durgi, ubranych na czarno i uśmiechniętych. Kalmar wył ze śmiechu, a Leeli patrzyła rozpromieniona. Nia wyszła z kuchni z półmiskiem pełnym miodowych babeczek, po czym położyła go na stole, uginającym się od gorących potraw.

– To moje urodziny? – spytał Janner, czym tylko wszystkich rozśmieszył.

– Miałam wrażenie, że o nich zapomniałeś – powiedziała Nia. – Ostatnio byliśmy zbyt zajęci, by zwracać uwagę na upływ dni, nie mówiąc już o szczególnych datach. A więc tak. To twoje urodziny. Twoje *trzynaste* urodziny.

Wreszcie na twarzy Jannera pojawił się uśmiech. Otrzeptał się i powitał przybyłych uczniów żartobliwymi ciosami.

- Larnik! Brosa! Jak długo tu czekacie?
- Tak długo, że zjadłbym nawet kurze nóżki – odparł Brosa.
- Zjedzmy coś – rzekł Kelvey O’Sally. – Moje psy liczą na resztki.

Janner przytulił Poda i matkę, a przy okazji przypomniał sobie komentarz Nii o tym, jak bardzo urósł. Jakim cudem zapomniał o swoich urodzinach? Pytał ją o nie kilka tygodni wcześniej, ale z powodu treningów w Gildii Durgi, TWP, zimowych obowiązków i niepokoju związanego z nadchodzącą wojną jego urodziny zeszyły na dalszy plan.

Na obiad podano jego ulubione dania: pieczeń z alozy z przyprawami, biszkopty maślane, sos wieprzowy, zupę dyniową, fasolkę szparagową i zapiekankę pasterską. Wspanialsza od jedzenia była jednak radość, jaką odczuwał w obecności swojej rodziny i przyjaciół: mistrza Clouta, Larnika i Brosy, Morshy MacFigg, Churlestona Jamesa, Joego Billa i Quincy’ego Candlesmitha, a także dwóch braci O’Sallych, Kelveya i młodego Thorna (którzy siedzieli cicho obok Leeli). Janner chodził ze swoimi przyjaciółmi do jednej klasy i grał z nimi w niezliczoną liczbę gier, ale nigdy wcześniej nie zebrali się na posiłek w Chimney Hill. Fakt, że zrobili to na jego cześć, napełnił go radością. Jedli i jedli, a w tym czasie Podo raczył przyjaciół Jannera najbardziej zenującymi opowieściami, jakie przyszły mu do głowy.

- A pamiętasz, jak głowa utkwiała ci między sztachetami w bramie podwórza?
- To się nigdy nie wydarzyło – zaprotestował Janner.
- Czyżby? – spytał Podo, odgryzając tłusty kęs alozy.
- To były szprychy w kole od wozu – wymamrotał Janner, a w trakcie śmiechu poczuł, że chyba nigdy w życiu tak się nie najadł.
- Czy możemy już przejść do babeczek miodowych? – spytał Podo, zacierając ręce z radości. – To moja ulubiona część.

Nia uśmiechnęła się i podała Jannerowi półmisek babeczek, przewracając oczami.

– Równie dobrze możemy już je napocząć.

– Mamo, wyglądają wspaniale, ale jestem najedzony po uszy – westchnął Janner i podał tacę Brosie, który odsunął ją z powrotem w jego stronę z przebiegłym uśmiechem.

– Nie poczęstujesz się? – spytał Janner.

– Nie.

– Są dla ciebie, chłopcze – zachichotał Podo. – Każda z nich.

Janner rozejrzał się wokół stołu i napotkał tylko uśmiechy, nawet ze strony Nii.

– Taka tradycja Gildii Durgi, synu. Przykro mi.

Janner liczył babeczki z rosnącym przerażeniem. Było ich trzynaście. Właśnie najadł się obiadem, a teraz ma zjeść półmisek pełen lepkich, słodkich babeczek?

– Muszę?

– Witaj w Ban Ronie, mój uczniu – powiedział Clout, odchylił się do tyłu i rzucił serwetkę na talerz. – To także moja ulubiona część.

Zanim skończył piątą babeczkę, Janner miał już ochotę wymiotować, a Podo ledwie panował nad sobą i parskał radośnie za każdym razem, gdy Janner ocierał pot z czoła. Pozostali goście wdali się w miłą pogawędkę, ale co chwila spoglądali na postępy Jannera. Z każdym kęsem coraz mniej podobały mu się te urodziny. Kiedy wyrwało mu się niebezpieczne beknięcie, odsunął się od stołu, przekonany, że starczy tych żartów, lecz powstrzymała go sama Nia.

– A ty dokąd?

– Ale jest jeszcze osiem. Osiem!

– To się nimi zajmij – odparła szyderczo Morsha MacFigg.

– Dokładnie. Wszyscy musieliśmy przez to przejść, kiedy kończyliśmy trzynaście lat – dodał Quincy Candlesmith.

Janner przeszedł się przez kilka minut po salonie, po czym usiadł z powrotem i zmusił się do zjedzenia jeszcze czterech babeczek.

Bał się, ale substancja, którą dodali do tej ostatniej babeczki, sprawiła, że strach wydał mu się odległy. Nia go przytuliła, Podo poklepał po plecach i po chwili zorientował się po lodowatym mrozie, że jest na dworze i jedzie na koniu w siodle usadzony przed mistrzem Cloutem.

Z mroku nocy wyłonił się jeździec, w którym Janner z trudem rozpoznał Rudryka. Z pewnością czuł się nieswojo, będąc tak blisko Chimney Hill, i Janner poczuł impuls, by go miło powitać, ale nie był w stanie poruszać ustami.

Rudryk wręczył coś Cloutowi – czyżby miecz?

– Dopilnuj, by go otrzymał, Clout. Należał do mnie, kiedy byłem chłopcem, i chcę, żeby go dostał, jeśli to nie problem.

– Oczywiście, Strażniku – odpowiedział Clout i skinął głową. – Wspaniały prezent.

Potem Rudryk skinął na Jannera i odjechał. Janner chciał mu podziękować albo przynajmniej pomachać, ale z ramion miał tyle samo pożytku, ile z ust.

– Nie ma w tym żadnej pułapki – powiedział Clout, poprawił Jannera w siodle i cmoknął na konia do kłusa. Ostatnią rzeczą, jaką Janner usłyszał, zanim stracił przytomność, był głos mistrza gildii: – Musisz tylko znaleźć drogę do domu. Będziemy czekać.

Kiedy Janner odzyskał przytomność, był wczesny ranek. Leżał pod kocem obok żaru dogasającego ogniska w zaśnieżonym lesie i nie miał pojęcia, gdzie się znajduje.

Wywieziony we śnie w nieznane

Sine niebo, widoczne za szarymi szkieletami drzew, rozjaśniało się powoli na wschodzie, ale słońce nie wstało jeszcze nad horyzontem. Koc Jannera był pokryty szronem, a wiatr uformował niewielką zaspę śniegu przy jego plecaku. Chłopiec usiadł i pokręcił głową, próbując sobie przypomnieć, jak się tam znalazł. Gdy wróciły wspomnienia z poprzedniego wieczoru, zdał sobie sprawę, jak strasznie mu zimno. Gwałtowny dreszcz najpierw wypełnił mu żołądek, a potem rozlał się po całym ciele aż po czubki palców u rąk i nóg. Na szczęście wokół leżało sporo ułamanych gałęzi i Jannerowi udało się rozpalić ogień. Zdjął rękawiczki i ogrzał dłonie, ale wiedział, że jeśli nie znajdzie więcej drewna, to niewielki płomień znowu osłabnie.

Rozglądał się po okolicy, wciąż próbując poukładać sobie w głowie dziwne zakończenie swoich urodzin. Ogień trząskał na środku polany nie większej od namiotu. Drzewa były wysokie i cienkie, a między nimi rosły krzewy i krzaki jeżyn, przez co Janner nie mógł dojrzeć, czy znajduje się w jednym z małych gajów jabłoni, które porastały wzgórze prerii, czy w głębokim lesie na południowym zachodzie. Cieszył się, że jest pośród drzew, ponieważ słyszał mroźny wiatr i widział, jak szarpie za ich wierzchołki. Im bardziej jednak się budził, tym bardziej był zirytowany, że przyjaciele i rodzina porzucili go samego na pustkowiu. Ktoś powiedział, że to tradycja Gildii Durgi – ależ absurdalna! Clout nie tylko go tu porzucił (Janner przypomniał sobie, że to mistrz Clout

przywiózł go tutaj na koniu), ale w jakiś sposób także zatarł ślady, aby jeszcze bardziej utrudnić mu znalezienie drogi do domu. Śnieg między drzewami wydawał się nietknięty, poza nielicznymi śladami pluskaczy i kilku ptaków. Clout, mistrz skradania, nie miałby problemu z zamaskowaniem swoich śladów, gdyby w ogóle jakieś zostawił.

Janner spędził kilka minut na zbieraniu drewna na opał i wkrótce rozpałił spory płomień, który ogrzał jego zziębnięte kości. Kiedy jego ciało przestało się trząść, przejrzał swoje wyposażenie. Obok siennika i plecaka leżały łuk bez cięciwy i kołczan z dokładnie trzynastoma strzałami.

– Ha, ha – burknął. Łuk był przywiązany do miecza i sztyletu – jakże to pomocna broń dla samotnego chłopca w lesie.

Miecz. *Rudryk!* Janner odwinął go i wyciągnął z pochwy. Podziwiał jego solidne ostrze, wyszczerbione, ale ostre i lśniące w porannym świetle. Skóra rękojści była ciemna i gładka od lat użytkowania i idealnie pasowała do jego dłoni.

– Dziękuję, Rudryku – szepnął i schował miecz.

Jego plecak, ten sam, który matka uszyła mu w Skree, zanim uciekli z domku wuja Arthama, pękał w szwach. Ucieszył się, że jego długo używana skóra straciła swoją sztywność. On i ten plecak przeżyli spotkanie ze skałaluchem olbrzymim, Stranderami ze wschodniego zakola rzeki, a nawet rejs przez Morze Ciemności – i obaj mieli po tym blizny. Odpiął klapę i ze środka wypadły kilka małych porcji żywności owiniętych w papier i sznurek oraz koperta z jego nazwiskiem. Janner rozerwał ją i wyjął ze środka list.

Jannerze,

Twoja matka powiedziała mi, że uciekłeś z fabryki pełnej niewolników, podróżowałeś samotnie przez terytorium Fangów i odnalazłeś swoją rodzinę w mieście ukrytym pod lodem. Nie powinieneś zatem mieć problemów z tym małym sprawdzianem swoich durgańskich zdolności. Każdy

uczeń przechodzi podobną próbę sił i umiejętności, chociaż muszę przyznać, że nie każdemu urodziny wypadają w środku zimy, a niektórzy nie są gotowi na wywiezienie we śnie aż do czternastego lub piętnastego roku życia. Jesteś jednak nad wyraz dobrze przygotowany – pechowo dla ciebie. Uczylem was skradania, polowań, tropienia, orientacji w terenie i walki. Bez problemu powinieneś się zorientować, gdzie jesteś, znaleźć jedzenie i wrócić do domu – chyba że napotkasz zębate krowy, ale w Dolinach jest ich niewiele. Uważaj na grobliny, szczególnie teraz zimą, ale poradzisz sobie. Omijaj też skunki, ponieważ przyciągają wilczą kolcousznego, który ma wrażliwą tylko środkową łapę – powtarzam, ŚRODKOWĄ łapę.

Mam całkowitą pewność, że trafisz do domu bez problemów. Chyba że zobaczysz graniobieżców. Zapomniałem o nich. Ostatnio są coraz śmielsi, nawiedzają Doliny grupkami – zapewne w poszukiwaniu Fangów. Nie martw się jednak o nich, raczej cię nie porwą.

Jak już zapewne wiesz, kiedy uczeń gildii jest wywożony we śnie i porzucany, nie ma nad nim opiekuna. Nikt nad tobą nie czuwa, aby cię ratować, gdy pojawią się trudności. Nie trenuję tutaj wiotczaków – trenuję Durgan, obrońców Zielonych Dolin. Oznacza to, że jesteś sam. Oczywiście, jeśli nie pojawisz się w Ban Ronie w ciągu tygodnia, to wyślemy ekipę poszukiwawczą i sprowadzimy cię do domu, choć prawdopodobnie nie zostanie z ciebie zbyt wiele. Twoja matka dorastała w Dolinach, wie, jak to działa, i dała mi pełne pozwolenie. Sądziłem, że będę musiał ją namawiać na poddanie cię porzuceniu, ale ona zgodziła się bez wahania. Powinieneś być dumny, że tak cię docenia, chłopcze.

Na koniec jeszcze jedno. Kiedy będziesz to czytał, ogarnie cię głód – to dlatego, że spałeś przez dwa dni. Może ci się wydawać, że twoje przyjęcie urodzinowe było wczoraj wieczorem, ale tak nie jest. Jesteś dalej od domu, niż myślisz. Po dwóch dniach konnej jazdy możesz znajdować się praktycznie w każdym miejscu w Zielonych Dolinach. Baw się dobrze!

Mistrz Clout

PS Zapomniałem o zwierzoludach – nie pozwól im się pożreć.

PS Zauważyłem też skupisko ślizgalców w kępie drzew niedaleko miejsca, w którym cię zostawiłem. Zwykle są potulne, z wyjątkiem wschodu słońca. Nie rozpalaj zbyt wielkiego ogniska! To je drażni.

Janner wsunął list z powrotem do plecaka i stanął nieruchomo. Usłyszał trzask, ale nie był pewien, czy to odgłos ognia, czy ślizgalca w kępie drzew. Clout nauczył go, że uszy działają najlepiej, kiedy oczy są zamknięte, więc zamknął je i wstrzymał oddech, wsłuchując się tak intensywnie, że usłyszał bicie własnego serca. I wtedy z przerażeniem zdał sobie sprawę, że między drzewami coś dyszy. I stoi tuż za nim.

Siekanie ślizgalca

Janner przełknął ślinę. *Ślizgalce.*

Czym one właściwie są?

Przerzucał w pamięci karty książek i próbował przypomnieć sobie wygląd tych stworzeń. Pamiętał, że czytał o ślizgalcach w *Kreaturopedii* Pembricka, ale nie mógł sobie przypomnieć nic konkretnego. *Zaraz poznam ślizgalce dokładnie, w tym ich nawyki żywieniowe* – pomyślał. – *Jak tylko się odwrócę.*

Stwór za Jannerem musiał wyczuć jego wewnętrzne napięcie, bo na chwilę przed skokiem jego oddech ucichł i Janner usłyszał jakiś ruch. Modląc się do Stwórcy, chłopiec odwrócił się z krzykiem. Przed nim na śniegu stał włochaty stwór z długim jęzorem zwisającym z zębatej paszczy i przyglądał się Jannerowi spokojnie. Chłopiec zamarł, trzymając ostrze miecza zaledwie kilka centymetrów od jego pyska.

Ślizgalec był dziwnie podobny do psa. Właściwie... był to jeden z psów Leeli – wielki, brązowo-biały pies pasterski z opadającymi oczami.

– Baxter? – spytał Janner, po czym opuścił miecz i odetchnął z ulgą. Pies szczerzył i zamerdał ogonem. Do jego obroży przymocowana była mała rurka z nakrętką na jednym końcu. Janner podrapał psa za uszami, po czym odpiął rurkę i wyciągnął z niej pergamin.

Drogi Jannerze,

wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! Poprosiłam Baxtera, żeby dotrzymał Ci towarzystwa. Nie chciałam, abys był sam na tych zimnych wzgórzach i nawet nie miał z kim porozmawiać. On nie pomoże Ci znaleźć drogi do domu, ale jeśli przydarzy Ci się coś naprawdę złego, to możesz posłać go po pomoc. Powiedz mu tylko: „Znajdź Leeli”, a on przybiegnie prosto do Chimney Hill i zaprowadzi nas do Ciebie. Mam nadzieję, że nie czytasz tego na głos, bo już by pobiegł.

Ściskam!

Leeli

– Dzięki, Leeli – rzekł Janner. Na dźwięk jej imienia Baxter przechylił łeb i spojrzał na niego wyczekująco. – Dzięki! Powiedziałem „dzięki”. – Pies odprężył się i polizał mu rękę.

Janner ponownie rozejrzał się, czy nie ma wokół ślizgalców, po czym schował miecz Rudryka i przymocował pokrowiec i sztylet do pasa. Pod paczkami jedzenia i suszonymi owocami (i jedną babeczką miodową, której widok przyprawił go o mdłości) znalazł zapalki, butlę oliwy, kilka zwiniętych szmat na pochodnie, linkę wędkarską, kilka haczyków, trochę soli, manierkę i swój dziennik. Ucieszył się, że Nia pomyślała, żeby mu go spakować. Minęło zaledwie kilka minut od jego pobudki, a już czuł się mniej samotny i bardziej gotowy na odnalezienie drogi do domu. Co więcej, Leeli zapewniła mu (nieco niesprawiedliwą) przewagę, ponieważ mógł odnaleźć ślady Baxtera na śniegu. Wystarczy, że wyjdzie z lasu po jego śladach i wróci do Ban Rony. Poczul się trochę winny, dopóki nie przypomniał sobie, że wciąż dzieli go od miasta kilka dni drogi, co i tak jest trudne dla samotnego wędrowca.

A potem, zgodnie z przewidywaniami Clouta, zaburczało mu w brzuchu.

Janner rozerwał jedną z paczek żywnościowych i wgryzł się w kawałek suszonego, wieprzowego mięsa, wciśnięty między dwie kromki chleba. Był zimny, ale przepyszny – a przynajmniej nie był miodową babeczką. Pociągnął łyk wody z manierki i wrzucił kolejną gałąź do ognia. Słońce wciąż chowało się za horyzontem, ale niebo szybko się rozjaśniało, co dawało złudzenie ocieplenia.

Wtedy Baxter szczeknął. Janner odwrócił się, żeby sprawdzić, o co chodzi, i niemal wypluł kęs wieprzowiny. Baxter patrzył na drzewa, a dokładnie na kilka białawych plam, wijących się wzdłuż pni. Gdyby drzewa były świecami, to te stworzenia wyglądały jak krople wosku wielkości kapusty, spływające wolno po bokach. Ślizgalce? Kiedy Baxter szczeknął ponownie, jedna z bezkształtnych plam otworzyła paszczę szerokości całego ciała i syknęła. Zęby miała długie i ostre jak igły. O ile Janner mógł dostrzec, stwory nie miały oczu, stóp ani futra – tylko paszcze. Ślizgalce wyglądały jak białe, wilgotne pijawki z zębami. Przynajmniej nie wydawały się tak szybkie, by mogły być niebezpieczne.

Janner dobył miecza i stanął pod jednym z drzew. Kiedy ślizgalec zsunął się wystarczająco nisko, sieknął go tak mocno, że skroił z pnia kawałki kory. Uderzył w to coś dokładnie pośrodku, a cios prawie rozerwał ślizgucha na dwie części. Biała masa skleiła się jednak z powrotem w jedno, zazgrzytała zębami i dalej sunęła po pniu. Janner sieknął mieczem ponownie i tym razem przeciął cielsko na pół. Nieco mazi z wnętrzości przykleiło się do miecza, ale ślizgalec skleił się z powrotem w jedno obłe ciało, zazgrzytał zębami i ruszył dalej.

Baxter warczał i skakał od drzewa do drzewa i Janner zobaczył, jak ślizgalec opada na śnieg, a potem sunie w kierunku tylnej nogi psa. Skoczył za Baxtera i sieknął w cielsko mieczem, czym je spowolnił, ale nie wyrządził mu większej krzywdy.

Szybkie spojrzenie w górę powiedziało mu, że z drzew otaczających ognisko spływają setki ślizgoglutów. Jeśli szybko się stąd nie wydostanie,

wpadnie w pułapkę. Janner schował jedzenie do plecaka, zwinął siennik oraz koc i chwycił łuk z kołczanem.

– Chodź, Baxter!

Pies przeskoczył nad trzema ślizgalcami, które już przedzierały się przez śnieg.

Janner musiał ruszać. Zapomniał o podążaniu po śladach psa i nie zdążył sprawdzić, czy zebrał wszystkie swoje rzeczy. Przecisnął się obok jednego drzewa, na którym ślizgalec zwiślał na wysokości ramienia, i drugiego, na którym inny kłapnął mu zębami nad plecakiem. Przemykał się między drzewami, przeskakiwał nad jednymi ślizgalcami i uchylał się pod innymi, od czasu do czasu oglądając się za siebie, by upewnić się, czy Baxter za nim nadąży. Po kilku minutach intensywnego biegu Janner i Baxter wypadli z lasu i upadli na śnieg.

Kiedy złapał oddech, Janner zatrzymał się i otrzepał, upewniwszy się, że zostawili ślizgalce za sobą. Słońce wspięło się na horyzont i ozłociło zimowe szczyty wzgórz, które rozpościerały się na kilometry. To był piękny kraj, a jego ogrom nie tylko przypominał Jannerowi, że jest daleko od domu – lecz także, że nie wie, gdzie się znajduje. Niezależnie od tego, jaką drogą Baxter przybył do lasu, by go znaleźć, na pewno nie szedł tędy, a Janner absolutnie nie zamierzał wracać, by szukać jego śladów. Częściowo się z tego cieszył, ponieważ oznaczało to, że test porzucenia na powrót stał się sprawiedliwy, i z modlitwą dziękczynną za Leeli usiadł obok Baxtera. Rozkoszując się ciepłem słońca, dokończył śniadanie, które przerwały mu ślizgalce. Ze zdziwieniem uświadomił sobie, że chociaż jest sam w ten jasny, zimowy poranek, to jest szczęśliwy.

To było co innego niż wędrowka przez Góry Kamienne, kiedy to Fangowie czaili się za każdym węglem, nie wspominając o ciężarze wstydu, jaki czuł z powodu zgubienia brata w Dugtown. Teraz był o rok starszy, przez wiele miesięcy trenował w Gildii Durgi i wątpił, by ze strony Gnaga Bezimienego groziło mu tutaj jakieś realne

niebezpieczeństwo. Gdyby było inaczej, mistrz Clout nie porzuciłby go we śnie na odludziu, nie kiedy za rogiem czai się wojna; Nia by na to nie pozwoliła.

Nie miał się o co martwić. Był dobrze zaopatrzony i solidnie wyposażony. Był zdrowy i ciepło ubrany – a z Baxterem opartym o bok było mu jeszcze cieplej. Janner patrzył na rozległy krajobraz, cichy, jeśli nie liczyć ćwierkania nielicznych ptaków w gałęziach i szmeru preriowego wiatru, i zachwycał się swoją samotnością. Świadomość, że wiele kilometrów dalej czekają na niego przyjaciele i rodzina, nappełniła go swoistym, samotnym spokojem.

Słońce ogrzewało Jannerowi lewy policzek – to oznaczało, że patrzy na południowy wschód. Zamknął oczy i przypomniał sobie mapę Zielonych Dolin, która wisiała na ścianie w Wielkiej Bibliotece; widział ją setki razy i z łatwością odtworzył ją w pamięci. Granica lasu leżała na wschodnim krańcu krainy, w Odległych Dolinach. Las rozciągał się po obu stronach, ale po lewej ponownie zawijał do środka i podążał wzdłuż krawędzi grani w dal.

– To południowy wschód – powiedział na głos Janner. Zmrużył oczy i wydawało mu się, że dostrzegł na rozmytym horyzoncie zarysy ośnieżonych szczytów. Był prawie pewien, że to góry Killridge. Jeśli to prawda, to za jego plecami znajduje się zachodni pas lasu Blackwood.

Tego Blackwood? Z pewnością Clout by go tu nie zostawił – chyba że jest na tyle daleko na północ, że nie ma ryzyka spotkania ze zwierzołudem. A może niebezpieczeństw czekało mnóstwo i taki był częściowy cel wywożenia we śnie? Tak czy inaczej, Janner był zadowolony, że rozpoznał okolicę. Wiedział mniej więcej, gdzie się znajduje.

Co teraz?

Jeśli uda się na południe, to w pewnym momencie natknie się na trakt wiodący do Ban Rugan, gdzie łatwiej odnajdzie dalszą drogę i trochę się ogrzeje. To nie powinno mu zająć więcej niż jeden dzień, prawda?

– Nie zbliżę się do domu, jak będę tu siedział – powiedział, klepiąc Baxtera po grzbiecie. – Chodźmy, piesku.

Janner usłyszał trzaśnięcie gałązki między drzewami, ale uznał, że to ślizgalec, pluskacz albo jakiś kolcernik, więc nawet się nie obejrzał.

Nie przyszło mu do głowy, że to może być graniobieżca.

Janner już nigdy nie powrócił do Chimney Hill.